Nr. 32. Warszawa, dnia 25 Lipca (6 Sierpnia) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE I SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90		
miesięcznie	„ 30	w Austryi rocznie	9 guldenów
		w Prusach	„ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Noworeckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

Szkoła specyjalna techniczna

przy warsztatach mechanicznych

Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.

W N-rze 27 „Opiekuna Domowego“ z r. b. podaliśmy wiadomość, że Zarząd drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, powziął myśl założenia przy swoich warsztatach mechanicznych *szkoły specyjalnej technicznej.* Szkół podobnych jak dotąd nie ma u nas wcale, a potrzeba ich gwałtowna. Młodzież chętnie garnie się do światła, średnie zakłady naukowe nie są w stanie pomieścić zgłaszających się kandydatów, w uniwersytecie pełno, a jednak jakże wielu z tych co wychodzą ze stopniami naukowemi nie mogą wynaleść sobie pomieszczenia coby skromny chociaż byt zapewniało. Czymże wytłumaczyć sobie to zbyt powszechne i zbyt smutne zjawisko w kraju, do którego jak do ziemi obiecanej ciągną po karyjerę cudzoziemcy i znajdują ją na pewno? Ha przypatrzmy się przedewszystkim kto są ci przybysze?.. Są to mechanicy, technicy, fabrykanci lub rzemieślnicy.

Dla czegóż więc młodzież nasza nie garnie się na te stanowiska?.. Odpowiedź bardzo prosta. Nie ma się gdzie do tych zawodów sposobić, nie ma nikogo coby jej za przewodnika posłużył. Nie znamy żadnej innej przyczyny. Dziś nikt nie gardzi rzemiosłem, dziś wielu by chętnie za młot chwyciło, aby się na pożytecznych pracowników wyrobić, a za najlepszy tego dowód służy nam skwapliwość z jaką czytelnicy nasi przyjęli wiadomość o projekcie Zarządu drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej.

Od chwili pomieszczenia owej wzmianki aż dotąd odbieramy zewsząd zapytania czy jest nadzieja, że szkoła otwartą zostanie i kiedy to nastąpi, jakie są warunki przyjęcia, jaki wykład, jaka opłata, i t. p. To też za nim przejdziemy do szczegółów, zaznaczamy jako już szczęśliwy pewnik, iż *Szkoła specyjalna techniczna przy warsztatach mechanicznych Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej* została zatwierdzoną przez P-a Ministra Dróg i komunikacyi i w roku jeszcze bieżącym otwartą zostanie.

Szkoła dzielić się będzie na dwa główne działy na szkołę przygotowawczą i na właściwą szkołę specyjalną techniczną.

Szkoła przygotowawcza będzie miała dwie klasy. Przyjmowane do niej będą dzieci rzemieślników pracujących w warsztatach, oraz dzieci urzędników drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i uczyć się będą początkowych nauk. Godzin wykładowych przeznaczono 24 na tydzień. Szkoła specyjalna techniczna dzielić się będzie na trzy klasy, a przedmiotami jakie będą w niej wykładane są: język rosyjski, arytmetyka, algiebra, mechanika, fizyka, telegrafija i rysunek techniczny. Godzin wykładowych będzie w tygodniu 15. Że jednak uczący się w szkole będą odbywać zarazem praktykę w warsztatach jak wszyscy rzemieślnicy od godziny 6 rano do 6 wieczorem (w tym czasie $\frac{1}{2}$ godziny przerwy na śniadanie $1\frac{1}{2}$ na obiad) wykłady więc będą miały miejsce w dni powszednie od 6 do 8 wieczorem, a w święta i niedziele od 8 do 11 rano. Wykłady prowadzone będą w języku polskim, stosownie jednak do zastrzeżenia Ministra w następstwie mają być zastąpione językiem rosyjskim i dla tego na naukę tegoż języka przeznaczono po kilka godzin w tygodniu.

W klasie nie może być więcej jak 40 słuchaczy. Pierwszeństwo mieć będą pracujący w warsztatach i dzieci urzędników i oficyjalistów drogi żelaznej, obcy przychodni przyjmowani jednak będą na wakujące miejsca.

Opłata wynosi rs. 20 rocznie, ale niezamożni mogą być od niej zwolnieni. W trakcie odbywania praktyki uczący się może pobierać płacę w warsztatach. Praktykanci uczyć się będą stolarstwa, ślusarstwa, tokarstwa, i poznawania składu lokomotyw. Kończący szkołę z korzyścią pomieszczani będą na posadach maszynistów, mechaników i t. p.

Wolno jest kandydatom składać egzamin

ŚLADY ŻYCIA.

XXXII.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Od niejakiegoś czasu, niektóre organy tak zwanej starej prasy gorliwie zajmują się kwestyją skandalu. Kuryjer Warszawski, Kronika Rodzinna, Wiek—i Gazeta Polska, poświęcają w swych łamach obszerne miejsce jużto awanturom ulicznym, już nareszcie namiętnym filipikom przeciwko młodej prasie, która ma być przyczyną gorszących zajść, krzewicielką wrogich społecznemu porządkowi idei. Czy to się zdarzy kradzież czy zabójstwo, czy skandal uliczny, wszystkiemu temu któż winien?... młoda prasa. Zaiste tylko fanatyczna zawiść i zła wola, mogą podyktować takie zarzuty. Postawmy kwestyją we właściwym świetle. Póki w łamach pism figurowała polityka, póki sprawy Chin, Japonii, Egiptu, Włoch, Francyi lub Niemiec, były przedmiotem dysput i rozpraw, póki żadna żywotniejsza kwestyja kraj obchodząca nie została poruszoną, póty nie było polemiki zaciętej, bo o cóż byłoby się spierać. Na jałowej niwie swobodnie porastał chwast literacki, miernostki otoczone dymem kadzideł wzajemnej adoracyi, wyrastały na powagi, których zdanie było decydującym. Ale społeczność nasza przeglądając coraz jaśniej wstąpiła na inną drogę, poczęła myśleć już nie o Francyi lub Prusach, lecz o sobie samej, a kierunek ten musiał się odbić w samej prasie, bo kiedy poczęto myśleć inaczej, to także inaczej pisać musiano. Kilka nowych pism prowadzonych przez wychowańców b. Szkoły Głównej lub Uniwersytetu Warszawskiego, rozpoczęło ów zwrot do rzeczy swojskich, a za ich przykładem poszły pisma dawniej istniejące. Dziś wszyscy musimy poruszać kwestyje społeczne, sprawy nasz ogół obchodzące, musimy się więcej pilnować i więcej dokładać pracy, musimy stosować do wymagań czytającej publiczności, której już plewami polityki—lub jałową strawą kronik tygodniowych i pogawędek o niczym, karmić nie wolno. Ale do tego nowego zwrotu jednych parły zapał i krew gorąca, drugich zmusiła twarda konieczność, bo inaczej mogła ich spotkać chłosta krytyki, sprawiedliwy zarzut martwoty i gorzka prawda, wytykająca bez ogródki usterki i błędy. A prawda w oczy kole... kto ją wypowiada, naraża sobie drugich, zyskuje zaciętych przeciwników, skarbi nienawiść. Mamy tego zbyt jasne i liczne dowody w obecnej chwili. Przekonania i opinije wygłaszane przez młode pióra, najpierw zostały przyjęte pogardliwym milczeniem, następnie tolerowane z konieczności, później nawet chwalone, rzadko kiedy popierane, a dziś potępiane bezwzględnie. I stanęły naprzeciw siebie dwa obozy drażnione bezustanku, wyrodziła się stara i młoda prassa i poczęła szarpać wzajemnie. Brak poszanowania tradycyi, zerwanie z przeszłością, indyferentyzm, skandal

odrazu na kurs 2-i wprost jednak na kurs 3-ci nikt przyjętym być nie może, potrzeba bowiem poprzednio odbyć praktykę w warsztatach.

Zakres nauk dla szkoły technicznej przepisany nie jest nam jeszcze dostatecznie wiadomy, podobno jednak z fizyki wykładaną będzie statyka i dynamika, z mechaniki początki i skład parochodów, z algiebry równania stopnia 1-go z jedną, dwu i trzema niewiadomemi. Następnie nauka pisania raportów i t. p., z geografii 5 części świata w szczególności zaś geografija Rossyi i Polski i kolei żelaznych w Europie, Rossyi i Polsce i t. d.

Na tym dziś poprzestajemy. Skoro jednak dojdą nas jeszcze bliższe jakieś w tej mierze szczegóły, postaramy się bezzwłocznie poznajomić z niemi czytelników naszych. Tu wypada nam tylko nadmienić, że jest podobno zamiarem Towarzystwa, tych co ukończą kurs 3-ci w szkole specyjalnej, wysyłać swoim kosztem za granicę dla dalszego kształcenia sie w mechanice, a jednocześnie wyrazić hołd uznania dla Zarządu drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, który nie pierwszy już raz składa dowody zacnej obywatelskiej działalności swojej.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

— Polor i wyuczony dowcip kryje szychową szmatką nędzę ducha —intrygi, skandale, jawne występki—tolerują się tam i rosną bujnie, jak rośliny w cieplarni. I czyż autora winić należy, jeśli znając dobrze i zbliska tę klasę społeczności, i malując ją wiernie, musi użyć kolorytu jaskrawego, aby był prawdziwym? A przecież aby leczyć ranę, trzeba z niej zdjąć osłony, i dotknąć się jej śmiałą ręką!

— A! Znakomicie! Drugi Demostenes! — Brawo!—Wolnoż jednak spytać gdzie bije to serce narodu? kiedy arystokracyja jest tylko naroślą — rzekł ze złością hrabia.

— W pojedynczych jednostkach, garnących się do szlachatnej pracy— składających swoje usiłowania i rezultaty wywalczone krwawą nieraz męką, u stóp świątyni przyszłości! U cichych pracowników, których życiem walka w imie Boże—a nagrodą zadowolnienie swego sumienia!—odparł Emanuel spokojnie—ale z błyszczącemi źrenicami ogniem zapału.

— Aa!—ziewnął hrabia—cudownie!—Dobranoc szanowny filantropie!

— Dobranoc!—powiedział Emanuel.

Elodyja milczącym skinieniem głowy pożegnała go — ale gdy wychodził ścigała go wejrzeniem — i w chwili gdy miał zniknąć za drzwiami, zawołała nagle głosem dziwnie brzmiącym, z trudnością wydobytym przez ściśnięte gardło:

— Panie Emanuelu!...

Zwrócił się zdziwiony.— Co pani każe? — spytał zakłopotany.

— Zostaw mi pan tę książkę! — Chcę ją jeszcze przejrzeć!...— rzekła po małym namyśle.

Położył książkę, i oddalił się miarowym krokiem—zanadto miarowym, aby był naturalnym. Djola sama niosła książkę cisnąc ją drobnemi palcami, jakby rękę Emanuela. On zaś—blady, wzburzony, niespokojny biegał szybko po swoim pokoju — jak uwięziony ptak w ciasnej klatce. Wreszcie usiadł — i wyjąwszy ze szkatułki listy i fotografiję Beaty, oglądał je długo — tak długo, póki spokojny i pocieszony — bez śladu chmury na czole, udał się na spoczynek.

Rano jednak wstał smutny—ulegając wrażeniu jakiegoś męczącego snu—spojrzał w okno—zadymka śnieżna nie wesoły przedstawiła mu widok. Ziemia i niebiosy utonęły w mgle zimnej i białej—wicher jęczał rozpaczną piosenkę— drzewa smutnie się chwiejąc wtorowały mu szelestem obnażonych gałęzi.

Emanuel zagrał naprędce jakąś bardzo żałosną strofę oderwaną — i usiadł niechętny prawie, roztargniony i znużony do pracy. Przesiedział tak aż do obiadu—i znów zabierał się wrócić do zajęcia — gdy przyniesiono mu dwa listy z poczty—jeden od Beaty—na drugim z niemałym zdziwieniem poznał rękę ojca. Naturalnie najprzód przeczytał pismo narzeczonej — usposobienie Beaty z jakim kreśliła te wyrazy — w ową noc bezsenną, w wigiliję wyjazdu — odbiło się w gorzkich myślach i gorączkowym zapale, tak rzadkim w jej spokojnej naturze. Emanuel odczytał to, i z bolesnym zadziwieniem przebiegł oczyma po raz drugi list zagadkowy. Biedaczka moja! —musi mieć zmartwienie! —tęskni może!... szepnął całując jej podpis — i zamarzył zatęsknił także — szczęśliwy, rozrzewniony —bo czyż może być większa roskosz na swiecie, jak czuć się kochanym i utęsknionym, od ukochanej istoty!

Zwolna i z niechęcią wziął do rąk wielką kopertę księcia Karmelka—i ledwie po upływie kwadransa odpieczętował ją aby się nareszcie dowiedzieć czego żąda. Jednak po kilku minutach—zerwał się— lica mu zapłonęły —ręce zatrzęsły—czytał dalej—i czytał bez końca— dopóki list nie wypadł ze zdrętwiałych palców.

Zobaczmy co pisał książe Karmelek.

„Choćbym ci chciał ręczyć że piszę przez ojcowską troskliwość o twoję dobro —pewno byś mi nie uwierzył. A przecie tak jest! — Ty siedzisz jak mól w książkach—a nie wiesz co się tu dzieje. Twoja synogarlica umknęła z klatki, z ptaszkiem co ma i pierze i mięso. Anibyś zgadł całej sprawy i jej obrotu?

Tu następował szczegółowy opis spotkania w cukierni, naturalnie w okropnie znieważający dla Beaty sposób—wizyty Gucia— i tak się kończyło:

„Młody pan Ruszczyc umiał się wziąć do rzeczy—wkręcił ją do Furfałkiewiczów, gdzie bawi obecnie — bywa tam prawie codzień, balują, bawią się, sankują—widziałem ją w teatrze, w loży pierwszego piętra—wystrojoną —piękną—ukłoniłem się jej wyraziście—i wyobraź sobie! jaka to efrontka!—odkłoniła mi się jakby nigdy nic!

„Jeśli nie masz ochoty wierzyć —to przyjedź, a przekonasz się naocznie!

„Moim zdaniem — puścić w trąbę głupią miłość, na wzór swojej bogdanki, bałamucić sobie jaką ciepłą gąseczkę, i okazać raz przecie zastanowienie i dowcip rodzinny, bo wszyscy Wiśniowieccy byli bardzo sprytni!"

Łatwo pojąć co czuł Emanuel po przeczytaniu podobnych wyrazów! Nie zwątpił ani na chwilę o szlachetności Beaty — ale domyślał się czegoś nadzwyczajnego — okropnego i wreszcie nie wiedział co sądzić!.... Blady — zmieniony — chwycił za kapelusz i pobiegł do pałacu.

— Można się widzieć z panem hrabią!—spytał Michela, który nań wytrzeszczył oczy.

---

paszkwil, nieuczciwość, wszystko to młodym przypadło w udziale, oni wrogami naszego społeczeństwa, oni siewcami niemoralności, przestępstwa—oni miazmatem fatalnej zarazy, która zgubi przyszłość społeczną.

Niech sobie jednak przypomni stary Kuryjerek Warszawski jego wyzwanie i porówna z nim odpowiedź jaką od Opiekuna Domowego otrzymał. Niech sobie przypomni „Gazeta Polska," iż artykuł „Aplikanci Sądowi" zamieszczony w Opiekunie wprost sfałszowała, my jakże postąpiliśmy?..... Wszakże przedstawiliśmy numer „Opiekuna," wykazaliśmy błędny sąd i nieuzasadnione przyczepki i pozostawiliśmy starej Gazecie Polskiej załatwienie sprawy... Czy Gazeta Polska czuła się w obowiązku sprostowania fałszów, czy uczyniła zadosyć najsprawiedliwszemu żądaniu. Nie uczyniła... A „Wiek", co to słowo miłości i pokoju, gałązkę oliwną zgody przynosił w dniu swoich urodzin, jakież dzisiaj kwestyje podnosi. Oto objaśnia czytelników, że czeladka dziennikarska może odsiadywać kozę jak inni śmiertelnicy poucza sądowego procederu, daje receptę na zasadzenie do aresztu. Dajcie nam dowody szanowni panowie, wykażcie gdzie to u nas znajdujecie tendencyje zgubne dla kraju, dowiedźcie, czy choć jednę myśl naszę lub projekt choćby najpożyteczniejszy poparliście, przyłożyli doń rękę... i zastanówcie się jeżeli łaska, kto to właściwie rozmazuje skandal i czerpie materyjał do druku w gorszących zajściach?...

Zapomnieliście szanowni panowie o waszym stanowisku i powołaniu. Interes ogółu zeszedł na plan podrzędny, pożytek osobisty zajął pierwsze miejsce, chęć zdyskredytowania drugich stała się celem zabiegów.

Więc odsądzono nas od czci i wiary, za to, że jesteśmy zwolennikami naukowych teoryj, które u pism politycznych i pisemek brukowych miru nie mają. Nasze przekonanie filozoficzne i społeczne, stały się celem pocisków, paszkwilów, drwin, nasze dobre chęci żądzą reklamy i kolonizacyją sławy, głos prosto z serca idący, frazesem.

A któż to krytykował nasze myśli, nasze czyny? Czy ludzie zasłużeni na polu literatury, czy naukowe powagi, czy nareszcie ci nieliczni mężowie charakteru, którym cześć należną oddajemy? Nie... nas krytykują i z nas szydzą te osobniki czeladzi literackiej, których imion nik nie zna, których procederem zapełnianie szpalt z dnia na dzień czczą gadaniną—bo pustka w ich głowie i pustka w sercu! Szanowni krytycy i sędziowie, nie macie prawa rzucać kalumnii na drugich, bo wam brak wykształcenia, brak uczciwości i dobrej woli. Was do wygłaszania wyroków potępienia ogół nie powołał, bo wy głosem opinii poważnej być nie możecie!

Posłuchajcie słów prawdy, które wam się należą.

Gdzież to są nasze wstrętne zasady, gdzie siejba paszkwilu, czy myśmy ogłosili kiedykolwiek skandal uliczny, czy odpowiedzieliśmy na zaczepki złośliwe tonem brukowej polemiki.

Dla czegóż nie występujecie do walki otwarcie, uczciwie, dla czego wojujecie ogólnikami—czemu waszych zarzutów nie formułujecie jasno.

W idealnym nimbie, z godłem publicznego dobra na piersiach, z wawrzynem wrzekomej zasługi i cnoty na skroni, przemawiają do nas rzecznicy starej prasy. Nie chcemy przypuszczać aby ci wybrańcy byli rzeczywiście przedstawicielami opinii, aby wstępny artykuł Kuryjerka Warszawskiego lub Wieku, aby odcinek Gazety Polskiej były tablicą, na której wypisuje swoje *credo* stara prasa. Dla tego też tego rodzaju napaści zbywamy pogardą, bo na nic innego nie zasługują, a bezwątpienia ci współpracownicy starej prasy co myślą uczciwie i uczciwie postępują, nie zniżą się do tyla, aby jarmarczne

— Jaśnie pan w swoim gabinecie — czy oznajmić?

— Nie!—odparł Emanuel i poszedł prędko.

— A!—niespodzianka! Dzień dobry drogi książę!.. zawołał wpół uprzejmie, wpół szydersko Władysław —ale spostrzegłszy jego twarz zmienioną, przestraszył się i zawołał:

— Cóż się stało?

— Nic panie hrabio! Ja tylko odebrałem list z Warszawy —i—i —muszę natychmiast jechać tam!—Przyszedłem prosić o łaskawe zwolnienie mię ze zobowiązania — i o konie.

— Beata chora!—krzyknął mimowoli hrabia, zrywając się z kanapy.

— Nie! — odrzekł zdziwiony Emanuel — ale dowód tej jak mniemał dobroci hrabiego wzruszył go i wyciągając doń rękę, rzekł ze wzruszeniem:

— Pan jesteś bardzo dobrym! panie hrabio!—Nie—Beata dzięki bogu nie jest chorą—ale nie mniej mój wyjazd jest koniecznym!—

— I nie powiesz mi pan powodu? — mówił zmięszany nieco hrabia.

— Nie mogę!

— No naturalnie! jesteś pan wolny —choć pragnąłbym szczerze zatrzymać pana..... Wreszcie —jedź pan — i wracaj!—Cóż to za interes taki nagły, co nam pana porywa par force? — W każdym razie —dziś już pan nie pojedziesz — nie zdążyłbyś na pociąg — a czas okrutny —zabłądzilibyście najpewniej. Jutro o szóstej rano, konie będą gotowe — na drugie śniadanie będziesz pan na stacyi —a na wieczór w Warszawie.

— Dziękuję panu! Muszę na to przystać— odparł z westchnieniem Emanuel.

— Przyjdziesz pan przecie do nas na herbatę?

— Nie panie hrabio! Tak jestem zmartwiony —że nie mógłbym znajdować się w towarzystwie. Potrzebuję samotności — rzekł smutno.

— Do licha! To jakiś stan desperacki!— Cóż to znowu! Nie trzeba się przejmować!— zawołał hrabia.

— Żegnam pana!

— Sądzę że nie masz pan do mnie urazy?—

— Bynajmniej! Serdecznie panu dziękuję za względną uprzejmość jakiej nieraz doświadczyłem! Proszę oświadczyć moje pożegnanie hrabinie Elodyi!—Żegnam pana hrabiego.

— Bywaj zdrów mój książę! Jesteś wybornym biblijotekarzem —i miłym towarzyszem! Jestem panu coś dłużnym — niepamiętam ile?

— Łatwy rachunek!—odparł zimno —i wyrachował sumkę należną — biorąc ją z ręki hrabiego bez wahania.

— Gdyby nie to że zapomniałem — byłbym nie narażał pana na przykrość obrachunku! —rzekł słodko hrabia.

— Zapracowane pieniądze niezawstydzają mię wcale!—odpowiedział z dumą —i ostatecznie pożegnał go ukłonem. *(d. c. n.)*

Dla Matek.

Ogólne uwagi o chorobach dziecinnych i o pielęgnowaniu chorych dzieci.

(Dokończenie).

Ponieważ matka, jest niejako pomocnikiem lekarza i wykonawcą jego poleceń, przeto powinna posiadać pewne wiadomości techniczne; tak w zakresie stosowania środków leczniczych, jak umiejętności pielęgnowania chorego dziecka. Zdarza się bardzo często, że dziecko niechce przyjąć zapisanego lekarstwa. Jeżeli ono chowane umiejętnie, łagodne przedstawienie wystarcza, ale kiedy perswazyje i namowy nie skutkują, pozostaje droga przymusu. Zmuszając jednak unikajmy tego wszystkiego coby przykrość lub ból sprawić mogło, niech przymus będzie łagodnym. Najlepiej wziąć na ręce, położyć główkę na kolanie lewej nogi pod którą przedtym podstawić stołeczek, niechaj niańka ściśnie nosek palcami, to dziecko usta otworzy. Natenczas matka palcem wskazującym lewej ręki naciska języczek, wprowadza łyżeczkę od herbaty z lekarstwem, i dziecię je połyka mimowolnie. W tej chwili trzeba odjąć palce od noska i ust. Sposób ten jakkolwiek wydaje się barbarzyńskim i gwałtownym, jednak nie czyni żadnej szkody ani bólu. Jest on smutną koniecznością, ale kiedy chodzi o zdrowie, użyć go musimy.

Jeżeli przepisaną jest jakaś maść lub płyn do wcierania, czyni się to za pomocą ręki lub płatka flaneli, skoro jednak wchodzi do składu maści jod, posługujemy się kawałkiem płótna lub kulką z szarpi obsadzonej na pręciku i obwiązanej miękką skórą zwierzęcą (irchą i t. p.). Po największej części płynne smarowidła wcierają się ręką, a to zbyt często do niczego nie prowadzi, jeżeli nie jest tarcie silne. Celem bowiem wcierań jest to, ażeby podraźnić powierzchnią skóry, i nareszcie aby środek wcierany dostając się przez jej pory do głębszych części, oddziaływał na nie. Sole metaliczne, jod, opjum, które mogą działać tylko przez wessanie ich do organizmu, nie powinny być wcierane ręką, bo więcéj maści wejdzie w dłoń wcierającego niż w ciało dziecka. Inne zaś leki służą więcej jako pobudzające skórę, a samo pocieganie dłonią jest rzeczą najważniejszą. Tak np. środki lotne eteryczne należy brać po trosze na dłoń i smarować szybko, pamiętając o tym aby dziecka nie zaziębić bezpotrzebnym długim obnażaniem.

Przyłożenie synopizmów wymaga także pewnych prawideł. Gorczyca powinna być miałko potłuczona. Główną jej częścią składową co działa draźniąco na skórę jest olejek cytrynowego koloru, dosyć lotny, silnego ostrego zapachu. Ważną jest rzeczą aby się ten olejek nie ulatniał, i w domowych aptekach, trzeba proszek gorczycy trzymać w naczyniach szczelnie zamkniętych i brać świeże ziarna gorczycy do użytku. Mączkę zarabia się nie z *ciepłą* ale *zimną* wodą lub trochą octu, tak żeby ciasto nie było zbyt płynne ani zbyt suche. Jeżeli położymy synopizma bezpośrednio na skórę, to zawsze na niej pozostają cząstki gorczycy sprawiające silne palenie, aby tej niedogodności uniknąć, dobrze jest pokryć miejsce oznaczone tarlatanem i dopiero na to synopizma położyć. Zwykle u dorosłych pozostawia się 15 do 30 minut, u dzieci należy to czynić daleko krócej, 10 minut zwykle wystarcza. Zbyt długie trzymanie może wywołać zapalenie skóry bardzo silne, a nawet spowodować gangrenę. Jeżeli skóra dobrze się zaczerwieniła, i jakby lekko wzdęła, już skutek osiągnięty, i odjąć gorczyczniki należy.

Zetknięcie z powietrzem powoduje ból, potrzeba tego unikać i zaraz po odjęciu, obmyć zaczerwienione miejsce gąbką umoczoną w ciepłej wodzie, i następnie posmarowawszy świeżym olejkiem migdałowym, pokryć miękim gałgankiem płóciennym. To ubezpiecza od tarcia i urażania, dziecko uspakaja się szybko. Dla niemowląt nadzwy-

---

wrzaski, i niesforne obłąkane krzyki za głos własnych przekonań uznawać mieli.

Rycerze dwulicowi, zapuśćcie jeszcze lepiej przyłbice, włóżcie podwójne larwy, bo ludzie zacni poznają was, i osądzą was. Maskarada długo trwać nie może, a kiedy maski spadną, kiedy szczudła wielkości pójdą precz, może zamiast idealnych apostołów ujrzymy szpetnych karłów, w czapce poliszynela, karłów, których gawiedź adoruje...

My pozostaniemy zawsze proletaryjatem inteligencyi, dziećmi ojców pełnych winy, wyrobnikami walczacemi o chleb powszedni, my się nie zaprzemy naszych zasad i przekonań, a sąd ich nie do Kuryjera Warszawskiego, ani Gazety Polskiej, ale do naszego sumienia należy. Oszczędźcie sobie przeto panowie Q. Д. i t. d. próżnej fatygi, nie wysilajcie mózgów na dowody, znamy się dobrze, wiemy kto jesteśmy i cośmy warci, nie widzimy was obok siebie na drodze pracy, pójdziemy dalej bez was, a co tam powiecie i napiszecie, mniejsza o to.

* * *

Chwilowa przemiana, jakiej w zakresie ogólnego kierunku teatrzyki warszawskie, pod ostatnie dni uległy, każe nam znowu przelotne słówko im poświęcić. Z przyjemnością więc najprzód zaznaczamy, że pan Trapszo wszedł na drogę częstszego przedstawiania utworów popularnych i ludowych. Płody tej barwy powinnyby stanowić pierwszą stacyją na szlakach rozwoju młodocianych dramatycznych talentów. Zdrowa metoda, polegająca na poczynaniu wszelkiej nauki od rzeczy najprostszych, radzi i młodemu adeptowi sztuki scenicznej zaczynać właściwe studyja od reprodukcyi charakterów najbardziej pierwiastkowych i elementarnych. Ról zaś odpowiednich dostarczyć mogą tylko utwory popularne z odcieniem ludowym. Utwory takie, jakkolwiek w literaturze naszej nieliczne, przestarzałe i ułomne, wogóle są pożądanemi, przedstawiają nam bowiem towarzyskiego człowieka w najprostszym pokroju, i czysty zdrój życia narodowego, stanowiąc zarazem jedno z ogniw łączących lud miejski z wiejskim i miasto ze wsią. Dlatego też o ile zadowoleni byliśmy dość szczęśliwym zwrotem pomysłów dyrektora Alhambry ku Skalmierzankom i Łobzowianom, o tyle będąc na przedstawieniu ostatniego (31 z. m.) z tych utworów, przykrego nad wszelki wyraz doznaliśmy rozczarowania. Dość powiedzieć, że debijutantka odgrywająca rolę głównej bohaterki przez cały czas pobytu swego na scenie stała nieruchomo przy budce suflera i mnąc fartuszek, osłupiałym na widzów poglądała wzrokiem, a Protazy, ów wsławiony na naszej scenie przez rozumną i żywą grę ś. p. Panczykowskiego pokątny doradca, bełkotał monotomnie przez usta pana Cybulskiego i do snu błogosławionych, w najokrutniejszy sposób umysły widzów ukołysać się starał. Wszystko to napozór dowodzi, że artyści prowincyjonalni są więcej od warszawskich przez cywilizacyją *zepsuci*, mniej od nich lud wieśniaczy znają; w naszych jednak oczach jest to nadewszystko świadectwem nieorganicznego rozwoju uzdolnień wędrownego aktora i smutnym owocem fałszywej metody, zalecającej ominięcie podstaw i poczynanie budowli od dachu zamiast od fundamentów. Zdanie to nasze popiera między innemi i rażąco, nienaturalna gra zdolnej, ale gardzącej widocznie wszelkiemi studyjami artystki p. Zimajer w ułamkowej komedyi Blizińskiego „Marcowym kawalerze."

Podczas gdy Alhambra kuleje na dobrej drodze, Eldorado probuje złej. Scenka ta weszła od pewnego czasu w ścisły sojusz ze Starémi kapralami, Gałganduchami i Młynami dyjabelskiemi. W wieńcu tym Gałganduch jest jeszcze prawdziwą perłą. Ckliwo się doprawdy robi na umyśle, patrząc na

czaj drażliwych dobrze jest domięszywać pół na pół mąki do tłuczonej gorczycy, aby działanie nie było tak silne.

Drugą rzeczą często będącą w użyciu są wezykatoryje. Aby je dobrze postawić trzeba pamiętać miejsce jakie naznaczył lekarz. Następnie wziąć kawałek płatka wskazanej wielkości np. talara, dłoni i t. d. posmarować go plastrem na grubość tylca noża stołowego i naokoło obciągnąć wałeczkiem dyjachilum, lub lepkiego plastru. Wezykatoryja przez to nie będzie się zsuwać. Pokrywszy ją płatkiem we dwoje złożonym, nałożyć opaskę i zostawić na kilka godzin, skoro dobrze naciągną, powstaje pęcherz wypełniony cieczą. Przecina go się u spodu nożyczkami lub przekłuwa aby zebrany płyn wydalić. Odejmując wezykatoryją trzeba to czynić ostrożnie, aby pęcherza nie rozerwać bo przeciwnie ropienie i ból będą większe.

Aby zagojenie nastąpiło prędzej, pokrywamy miejsce zranione miękkim płatkiem posmarowanym oliwą lub innym świeżym tłuszczem, zabezpieczamy od tarcia i drażnienia jakie ubranie powodować może, i nareszcie odmieniając codziennie opatrunek, postępujemy ostrożnie aby przylegających części nabłonka nie odrywać, bo to sprawia ból i podrażnienie.

Wspomnieć należy słówko o kąpielach. Zaleca się takowe dzieciom bardzo często, i to zwykle ciepłe. Otręby, szczapy smolne, środki aromatyczne i solne preparaty dodają się według potrzeby. Temperaturę kąpieli oraz czas jej trwania zwykle zaleca lekarz—przepisy te ściśle wykonywać należy. Pokój w którym kąpiel się odbywa winien być ciepły i zabezpieczony od przeciągów, sama wanna obszerna aby dziecko swobodnie poruszać się mogło. Po wyjściu z kąpieli należy posadzić dziecko na ogrzanej poduszce, wytrzeć do sucha ogrzanym prześcieradłem, nałożyć koszulkę, kaftanik i ułożyć w łóżko lub kolebkę świeżo przesłaną.

NASI POWIEŚCIOPISARZE.

V.

Eliza Orzeszko.

Nie upłynął jeszcze lat dziesiątek od chwili, w której imię to ukazało się po raz pierwszy w rocznikach powieściowej literatury. Obecnie znajduje już ono odpowiedni w kilkunastu utworach wykładnik, stanowi tytuł właściwego sposobu pisania, pewnej liczby umotywowanych przekonań i gorącym piórem skreślonych obrazów.

Powieściopisarka nasza, zaliczająca się zarówno okresem działalności, jak barwą przekonań i sposobem traktowania rzeczy więcej do młodej, niż do starej prasy, szybko a niepostrzeżenie przebyła wstępną szkołę twórczości, i jeśli nie dorosła jeszcze do epoki pełnego rozkwitu, opisała już oddawna dzielnicę i możliwą skalę swej duchowej potęgi, wypowiedziała hasła i wykreśliła drogę dalszego dla siebie rozwoju. Mamy więc mówić nie o jakiejś napółniemowlęcej zdolności, czekającej na uznanie w portyku literackiej świątyni, lecz o rzeczywistym talencie, który zdobył już tajemnicę sztuki pisarskiej, wyrzekł czego chce i dokąd zmierza.

Gniazdem rodzinnym i głównym miejscem pobytu naszej autorki jest okolica Grodna. Zaniemeńskie, więc zarówno jak zabużańskie i podkarpackie stosunki i typy są dla p. O. lepiej, niż jakiekolwiek inne znanemi. Nie stanowią one jednak etnograficznych osobników, nie noszą szczególnie wyłącznej i miejscowej barwy, niezbyt często bowiem i tylko epizodycznie brane są ze szlacheckiego i małomiejskiego, a bardzo rzadko z wieśniaczego świata [1]. Powieściopisarka przebywa prawie ciągle w tak nazwanym *wielkim* salonowym kole, którego niezmienną istotę stanowi jak wiadomo francuska lub angielska politura i blady koloryt kosmopolityzmu. Studyja nad zjawiskami życia tej społecznej warstwy, polegające na systematycznym wiązaniu odkrywanych przyczyn i skutków, oraz na ciągłym przeciwstawianiu właściwych obrazów zjawiskom i ideałom świata pracy i czynu; — oto główna, wyrazista a pożyteczna specyjalność pani E. Orzeszko. Nie odstąpiła ona od niej nigdy, nie wyrzekła się jej ani na chwilę.

Na każdej ważniejszej karcie uwydatnia się u tej powieściopisarki rozmyślny dualizm obrazów. Po jednej stronie, śród jaskrawych świateł i tanecznych dźwięków, kipi nieustanny wir życiowej zabawy: zmysły płoną, wyobraźnia goreje, umysł popada w idyjotyczną odrętwiałość. Męska połowa tego ruchliwego grona, poza ścianami balowej sali, oddaje się pokątnej hulance, grze karcianej lub bezmyślnej hodowli koni, mówi wiele o swych przodkach, żyje kosztem przeszłości i do żadnych obywatelskich nie poczuwa się obowiązków; damy — nudzą się lub, uśpione w półcieniu wonią helijotropu, marzą. Najżywotniejszym zajęciem i jedyną wobec ruiny majątkowej deską ocalenia, jak dla jednych, tak i dla drugich, jest wytrwała pogoń za *dobrą partyją*, czyli innemi słowy — poszukiwanie żony lub męża, posiadającego odpowiednią herbową i pieniężną kwalifikacyją. Jestto tak nazwany *wielki świat*, koteryja czująca wstręt do wszelkiej produkcyi, słowem — *śmietanka* naszego społeczeństwa. Naprzeciw tego grona, po drugiej stronie obrazu kreśli zazwyczaj autorka rozliczne formy swoich ideałów, bardziej prawidłowe drogi życia i rozwoju; rysuje gospodarne domy, rękodzielnie i gabinety uczonych; stawia na społecznym lub towarzyskim świeczniku rozwinięte umysły i niewystygłe serca, słowem — rzeźbi rozległą świątynią pracy z całym przyborem jej ołtarzy i kapłanów.

Samo równoległe przeciwstawienie dwu tak różnych społecznych obozów, jak obozu pracy i pasożytnej wegietacyi — uczyniłoby już może zadość prawu artystycznej harmonii i odpowiednie w umyśle czytelnika obudziło myśli. Autorka jednak nasza nie poprzestała na łańcuchowym odtworzeniu spółczesnych zjawisk *wielkiego* świata i cichej pracowni; lecz fakt po fakcie sięgnęła do przyczyn i znalazła je w wychowaniu. Występując w stosunku do świata salonów jako mistrzyni i reformatorka, wie bardzo dobrze, iż pożądana reforma wychowania publicznego jest w każdym razie nie pierwszym, lecz ostatnim, przygotowawczym aktem wszelkiej reformy, że zatem, aby systematycznie przeprowadzić jaką myśl zbawienną, należy wprzódy wszelkiemi możliwemi środkami wzruszyć podwaliny starych nałogów i na ciele dojrzałego w błędach społeczeństwa zdrową płonkę nowej myśli zaszczepić. Pragnie więc ona tymczasem pomagać samowychowawczej pracy tych wychowanek dusznej atmosfery sa-

[1]) Jedynym, znanym piszącemu powieściowym fragmentem, do którego autorka bohaterów z wieśniaczego stanu wprowadza, jest zacną dążnością nacechowany, lecz pod względem artystycznym ułomny i niemowlęcy „Obrazek z lat głodowych" Tyg. ilustr. r. 1866).

---

rzekome duchy wywlekane pod różnemi pozorami zza kulis przy akompanijamencie ogni bengalskich, na owych rycerzy, którychby się dzisiaj i w szopie u sołtysa nie godziło przedstawiać, na owe nareszcie cudowne powikłania dziejów Starego kaprala, przypominające niemowlęctwo sztuki i wyciskające łzę niewypowiedzianej nudy z oczu dzisiejszego widza. Zaznaczając ten fałszywy, choć zapewne chwilowo tylko obrany przez Eldorado kierunek, głosujemy za stanowczym porzuceniem melodramatu i czarodziejskiej muzy, jako nieodpowiadającej duchowi czasu i zgoła pod każdym względem bezużytecznej.

* * *

Czy siostry miłosierdzia kwalifikuję się do posługi chorym w szpitalu? Takie pytanie stawia Przegląd Katolicki, walcząc w Nr. 30 przeciw broszurze D-ra Bulikowskiego, wydanej we Lwowie, p. t.: „Siostry miłosierdzia w naszych szpitalach," w której to broszurze Dr. B. stara się rozwiązać powyższe pytanie w sposób przeczący. Nie pochwalamy tonu polemiki w Przegl. Katolickim, co do samej jednak zasady na ten raz stajemy bezwarunkowo po stronie tego pisma. Myli się Przegląd Katol. sądząc, że stanowisko antiklerykalne prowadzić musi do „spotwarzenia świętości," myli się niemniej jeśli sądzi, że zgryźliwą uszczypliwością i wątpliwej barwy insynuacyjami (str. 466 szpalta 2), dobrze służy sprawie. Ale i Dr. Bulikowski jest zdaniem naszym w wielkim błędzie, jeśli utrzymuje, że zwykłe płatne najemnice lepiej spełniać będą posługę przy chorych, niż siostry miłosierdzia. Kwestyję tę w krótkim czasie opracujemy obszerniej, tutaj uważamy za stosowne nadmienić, że niezależnie od poważnego świadectwa publicystów wszelkiej barwy, sami mieliśmy sposobność przekonać się dokładnie, o wysokiej wartości instytucyi o której mowa, instytucyi bezwątpienia najpożyteczniejszej i najdoskonalszej ze wszystkich stowarzyszeń religijnych. Zapewne, że zgromadzeniu siostr miłosierdzia nie należy oddawać w ręce głównego zarządu zakładami dobroczynnemi, nie mają bowiem do tego odpowiedniego uzdolnienia i samodzielności, ale w właściwym zakresie pracy nikt wyrównać im nie potrafi w pilności, sumienności i poświęceniu się. Działalność taka manifestująca się w najrozmaitszych warunkach miejsca i czasie, nie może być dziełem przypadku i dla tego twierdzimy stanowczo że sama *reguła*, mimo niektóre jej usterki, jest dziełem wiekopomnym, przynoszącym zaszczyt całej ludzkości.

* * *

W dniu 24 b. m. p. Józef Baranowski, lublinianin, otrzymał od uniwersytetu Lipskiego stopień doktora filozofii, po zdaniu egzaminu i złożeniu rozprawy „*O mineralogicznym i chemicznym składzie saskich porfirów granitowych.*" Pan Baranowski zajmuje się specyjalnie gieologiją, a studyja swe odbywał częściowo w Warszawskiej Szkole Głównej, następnie w Berlińskiej Akademii Górniczej, którą skończył, wreszcie w Lipsku, pod umiejętnym kierunkiem jednego z najznakomitszych dzisiejszych gieologów prof. *Zirkla*. W doktoryzacyjnej swej rozprawie uwzględnił autor głównie, *mikroskopowe badania minerałów*, który to kierunek, płodny w olbrzymie postępy całej dziedziny nauk gieologicznych, ma w profesorze *Zirklu* głównego w Niemczech przedstawiciela. Obecnie, w skutek wezwania jednego z właścicieli ziemskich w Prusach Zachodnich, Dr. Baranowski ma zamiar przedsięwziąć tamże szereg poszukiwań gieognostycznych w formacyi węgla brunatnego. Życzymy młodemu pracownikowi wytrwania na obranej drodze i powiększenia z pożytkiem dla kraju, tak małej liczby specyjalnych prac gieologicznych, jaką u nas nauka gieologii dotychczas poszczycić się może.

onów, które poczuwszy się już manekinami bez serca i głowy, zapragnęłyby wskazówki, rady i pomocnej ręki doświadczonego przewodnika.

Przeciwstawienie dwu rzeczonych światów i widoczna dążność do przekonania pewnej klasy czytelników, że tarcza herbu winna się pod karą wzgardy wieńcem pracy i zasługi ozdobić, a fikcyjna zasada konwenansów na niewzruszone prawo zdrowego rozsądku zamienić, że lalka nie jest człowiekiem, że życie nietylko na użyciu polega, że małżeństwo jest więcej związkiem ludzkich usposobień i uzdolnień, niż imion i majątków — oto główny potok tendencyi we wszystkich prawie powieściach p. Elizy. Utworem jednak, w którym ona specyjalnie tę wieloramienną napozór, lecz w gruncie jednę i wewnętrznie harmonijną zasadę życia rozwija, w którym jako wyzwolona przez rozum i życie wychowanka salonów, do kobiet-ofiar, do niewolnic chińskiej mody i indyjskiego próżniactwa przemawia — utworem takim jest kilka lat temu wydany, czterotomowy „Pamiętnik Wacławy."

Stało się raz, że roskoszne i lekkie dziecię salonów pokochało uczonego „wyrobnika," młodego profesora, a będąc nawzajem kochane, mimo gniewu babki i ogólnego w arystokratycznych kółkach zgorszenia, zaślubiło wybranego. Żywiołem dla niego była dotąd nauka, dla niej — próżnia tualetowych efektów. Ze zaś jedną z kardynalnych podstaw małżeństwa jest możliwa zgodność, nie zasadnicza sprzeczność żywiołów, a człowiek zawsze i wszędzie jest niewolnikiem nabytych w ubiegłej dobie życia nałogów, związek w ten sposób sklecony, mimo pozornego cementu miłości, prędzej lub później rozwieść się musiał. Przed nastąpieniem atoli przewidzianego faktu, nieszczęśliwemu stadłu urodziła się córka. Dziecię to przy pierwszym brzasku poczuło, że istnienie jego waży się na przełomie dwu światów — między matką a ojcem, między salonem a pracownią, między życiem na żart a życiem na seryjo. Przełom z postępem czasu zaczął się powiększać, aż dziecię oddane na pensyją i skazane na nieoglądanie przez lat kilka oblicza rodziców, przechyliło się nakoniec zewnętrzną siłą warunków ku światowi matki. Atmosfera balowa, hołdy różnego pokroju złotej młodzieży wywarły na nią właściwy urok, i dopóty więziły w swym zaklętym kole, dopóki nie wionęły ze środka prądem czczej nudy i nędznym nie zaświeciły szychem. Bohaterowie wydali jej się nagle tłumem nędznych spekulantów, płaskich deklamatorów i pozujących maryjonetek, bohaterki — lalkami bez barwy, lub jak ona sama — ofiarami złudzeń. Wtedy „świat ojcowski," świat rzetelnego życia i pracy przyjął ją w swe objęcia i do czynnej na arenie społecznej przygotował roli. Silna i odrodzona, po kilku latach powraca do matki, by ją, po utracie majątku, własną utrzymywać pracą i niby wątłą pupilę w opiekuńcze utulić ramiona.

Dwa światy na abstrakcyjnym polu tego romansu łączą się ze sobą w ten sposób, że jeden z nich — świat złudzeń i pozorów — zrzeka się swej autonomii i zostaje szczęśliwą, bo wzmożoną kapitałem osadą wielkiej metropolii rękodzieł i nauk. Przekształcenia tego jednakże dokonała autorka z wielkim trudem i na kilku tylko wybranych jednostkach; reszta niezreformowanych pozostała do czasu na kurulnych krzesłach konwenansowego forum, lub spoczęła na dnie mętów społecznych z piętnem hańby na czole. Ponad niemi tymczasem żyje i działa w dalszym ciągu skrzętny rój wyrobników.... Oceniając nateraz powieść tę przeważnie ze stanowiska tendencyi, jaką wyraża, stawiamy ją na jednym z „Panem Grabą" poziomie, i wraz z tym utworem zaliczamy do najlepszych płodów p. Elizy.

„Pamiętnik Wacławy" jest książką napisaną dla kobiet, które miały szczęście lub nieszczęście urodzić się dziedziczkami majątków i dojrzewać w nieprzyjającej rozwojowi cieplarni konwenansu. Sposób ich wychowywania, życie, marzenia i umysłowe choroby są naszej powieściopisarce z gruntu i szczegółów znane. Owoce, jakie praktyka moralności salonowej w duchowym organizmie płci niewieściej lęże, wyprowadza ona z nieubłaganą ścisłością z poprzednich przyczyn, tłumacząc psychologiczne zjawiska chorobliwego marzycielstwa, potwornej hipochondryi, apatyi, zdeptania własnej godności moralnej ... Widzimy tu między innemi profil kobiety, której wyobraźnia narkotykami zabaw sztucznie rozbudzona, lgnęła do wszystkiego, co w szrankach rzeczywistości miało choć pozorne z jej marzydłami powinowactwo, i goniła ustawicznie za czymś nieujętym i nieokreślonym. Zaślubiona kochającemu ją człowiekowi, wprzód nim „serce w piersi poczuła," nim nad sobą i świętym powołaniem żony zastanowić się mogła, oskarżała go, że jej „nie rozumie," „płakała nad tym że śnieg pada i zasuwała firanki u wszystkich okien, gdy słońce świeciło; krzyczała z przestrachu przy najmniejszym szeleście a dostawała serdecznego śmiechu słuchając muzyki." Inna znów odrysowana w „Pamiętniku" młodziutka przedstawicielka salonów, połączona w imię „dobrej partyi" z nielubianym i nieuczciwym człowiekiem, kochając innego, schodzi na bezdroża i umiera dla świata, w młodości kwiecie. Typy to zaprawdę pospolite i łatwo przez odkryty szereg wychowawczych wpływów dające się umotywować. Wyjątkowym natomiast, choć niemniej zajmującym portretem jest Rozalija, córka przedajnej hipokrytki i napółszlachetnego hulaki, — istota piękna, ognista, dowcipna, z rodziną żyjąca w rozbracie, gardząca sobą i całym otoczeniem, pełna wreszcie niewyrobionych materyjałów życia, lecz na duchu złamana i do taczek dziedzicznego losu na całe życie przykuta. Jestto w swej istocie natura wulkaniczna, pełen kopalnej siły umysł, który zdziczał i potworne przybrał kształty w chińskiej prasce bezmyślnego wychowania. Okaz to jednak zanadto wogóle wyjątkowy i chorobliwy, a choć może rysowany z natury, zamało prawdopodobny, abyśmy go do charakterów ogólnej doniosłości i pożytku zaliczyć mogli. Najbardziej natomiast pouczającemi są w „Pamiętniku" reprodukowane często przez panią O. rysy Wacławy i jej matki.

Jak w „Pamiętniku" męskie postaci na drugim stoją planie i służą tylko przeważnie do uwydatnienia postaci kobiecych, tak w „Panu Grabie" kobiece chylą się ku cienistym brzegom obrazu i są wykładnikami męskich. Tu i tam rozgrywa się jedna myśl przewodnia, polegająca na wyświetleniu tej smutnej a w ogólniku powszechnie znanej prawdy, że wychowanie wyższych majątkiem i dziejową tradycyją warstw społecznych jest u nas bardzo zaniedbane i często w pupilu potworny wyrabia charakter. Wyraźną ilustracyją tej myśli jest główna postać drugiego romansu — pan Graba, człowiek należą-

---

* * *

P. *Marceli Nencki*, Sieradzanin, uczeń niegdyś gimnazyjum piotrkowskiego, następnie b. Szkoły Głównej Warsz., liczący obecnie lat 26, zamianowany został profesorem zwyczajnym chemii fizyjologicznej w Bernie (w Szwajcaryi), objąwszy jednocześnie zarząd tamtejszego laboratoryjum. Przy p. Nenckim pracują tamże w charakterze asystentów pp. Leon Modrzejewski i Edmund Rakowiecki doktorowie, i również wychowańcy b. Szk. Gł. Warsz.

* * *

Z Radomia. Lipiec 1873 r.

Pierwszy raz zapewne czytelnik spotyka w łamach „Opiekuna Domowego" korespondencyją z Radomia, o którym w ogóle straszliwie jakoś głucho w naszych pismach peryjodycznych. Jedni wyprowadzają stąd wcale niepochlebne dla radomian uwagi, drudzy napomykają, że uczeni i filozofowie zwykle mało mówią, a wiele myślą, ja żadnych nie wyprowadzam wniosków zaznaczam tylko z doświadczenia, że radomianie i radomianki bynajmniej małomównością nie grzeszą...

Radom jest miastem prowincyjonalnym. Życie prowincyjonalne zbyt dobrze jest znane i zbyt często było opisywane, abym miał wchodzić w opowiadanie jego szczegółów, chociażby te szczegóły miały tutaj barwę jaskrawszą, aniżeli gdzieindziej. Radomianie narzekają na monotonność i jednostajność, ale wcale o tym nie myślą, jakby zaradzić złemu, a nawet jeżeli kto wystąpi z nową myślą z nowym projektem, zaraz znajdą się przeciwnicy, wrzeszczący wielkim głosem to się nie uda; co nam to potym it. d. Wszelka nowość tu razi, co jednak nie przeszkadza narzekać na brak nowości, odwoływanie się do interesu ogólnego, to głos wołającego na puszczy bo chyba tylko bardzo nieliczne jednostki zrozumieć to chcą i mogą. Nikt prawie nie myśli o tym, że po za obrębem spraw osobistych są rzeczy, które przecie wszystkich obchodzić powinny. Jest tu dosyć młodzieży z wyższem wykształceniem, młodzieży, któraby mogła i powinna rozbudzić życie w tutejszych zaspanych kółkach, ale młodzież ta uważa, że gdy się odsiedziało kilka godzin w biórze dajmy na to, jest się już w prawie spocząć na laurach vulgo spędzić wieczorek na wiście lub sztosiku.

Na ciemnym wogóle tle tutejszego życia albo raczej drzemki tutejszej, świeci jaśniej działalność miejscowych lekarzy, który zawiązali stowarzyszenie w celu wzajemnego komunikowania sobie własnych spostrzeżeń, i rozbierania różnych kwestyj lekarskich. Każdy ze stowarzyszonych obowiązanym jest utrzymywać jedno pismo lekarskie w skutku czego posiadają stowarzyszeni 13 odmiennych pism w językach polskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim.

Na posiedzeniach stowarzyszenia regularnie co dwa tygodnie odbywanych, oprócz rozpraw opracowanych przez pojedyńczych członków, oprócz ogólnych dysput prowadzonych w kilku ważnych materyjach lekarskich, zajmowano się jeszcze kwestyjami miejscowemi, jak np. ułożeniem projektu poprawienia warunków higienicznych i kanalizacyi m. Radomia i t. p.

Prawić o pożyteczności stowarzyszenia zbyteczną byłoby rzeczą. Fakta zbyt przekonywająco dowodzą, o pożyteczności łączenia i zespalania sił w celach wspólnej pracy, i bardzoby dobrze było gdyby naprzykład prawnicy, a zwłaszcza nauczyciele zechcieli o czymś podobnym pomyśleć. Dyskusyja ogólna w pojedyńczych kwestyjach, spra

cy do rojowiska najgorszego gatunku szarańczy społecznej, daleki od najlżejszego pozoru pracy i zwykłej w stosunkach z innemi ludźmi uczciwości. Przypomina on uparcie „Spekulanta” Korzeniowskiego i jednę z portretowych kreacyj Wołodego Skiby („Pan Walery”); lecz nie stanowi ich sobowtóru i przedstawia w porównaniu z niemi osobną a wyłączną wspólnego typu odmianę. Odznacza się on tąż samą co dwaj pierwsi przebiegłością, tąż samą miarą wrodzonej i nabytej *cnoty*, lecz za to świeci wyższą może nieco potęgą nazywanego pospolicie urokiem zewnętrznego blasku, i bardziej bezinteresowną, bo mniej obliczającą przyszłe owoce grabieży namiętnością. Około niego grupują się postaci anglomanów, pieczeniarzy i innych zwykłego pokroju hulaków, wyzyskiwanych i wyzyskujących za przykładem wodza wszystkie słabsze strony krewnej płci niewieściej. Rzecz kończy się zdemaskowaniem głównego wyzyskiwacza, śmiercią słabszych, rehabilitacyją silniejszych i werterowskim rozwiązaniem życiowego dramatu bohatera.

„Pamiętnik Wacławy” jest więc utworem pisanym przeważnie dla kobiet, „Pan Graba” — dla mężczyzn. Jak w pierwszym dodatnie męskie postaci (hr. Witold i ojciec Wacławy), tak w drugim dodatnie kobiece (Ryta i Kamila) przedstawione są w ogólnym tylko streszczeniu, w konturowym chociaż wydatnym zarysie. Obie te powieści, stanowiąc wzajemne dla siebie w duchu przewodniej myśli dopełnienie, zaznaczają kulminacyjny punkt na drodze dotychczasowej twórczości p. Elizy Orzeszko. „Pan Graba” stanowczą jednak w tej parze odnosi przewagę; jest bowiem bardziej od „Pamiętnika” oryginalnym, ściślej realnym, i głębszym, granice salonowego świata przekraczającym utworem. *(D. c. n.)*

ZNAD BRZEGÓW SEKWANY.

(Dalszy ciąg).

Uciekając przed pyłem, wstąpiliśmy na szeroką drogę, a rozpytawszy się którędy najbliżej do kościołka i cmentarza, podążyliśmy szybko. Przeszedłszy kilkanaście krętych uliczek, stanęliśmy przed kościołkiem. Skromny on, niewielki, ale cenny przez pamiątki w nim spoczywające. W drugiej stronie miasta znajduje się cmentarz, gdzie spoczywa Adam Mickiewicz. Wchodząc przez bramę mieliśmy się na prawo, szukając w gęstym szeregu nagrobków pomnika naszego proroka poety.

Znaleźliśmy nareszcie skromny kamień cmentarny. Całe życie pełne utrapień i nędzy, odbiło się nawet w tym grobowcu. U szczytu umieszczony okrągły medaljon bronzowy. Dziwnie przykre ogarnia uczucie, patrząc na tę głowę strojną gałązką wawrzynu, na oblicze srogą wykrzywione boleścią, napiętnowane głębokim cierpieniem. Artysta uchwycił wybornie wyraz twarzy znękanej, może w chwili ostatniej, w chwili zgonu, w walce ze śmiercią. Grobowiec opuszczony i zaniedbany, licha żelazna krata otacza go do koła, ani świeżego wianka, ani kwiatka. Kilka gałązek bluszczu oplotło kratę, na mogile wybujał chwast i dzikie zielsko. Biedny wieszczu, natchniony piewco, czytają cię milijony, płaczą razem z tobą, gonią okiem za orlim polotem genijuszu, a niema komu zawiesić wianka na grobie, posadzić kwiat róży lub lilii, któreś składał w równianki na brzegach Niemna, w uroczej Kowieńskiej dolinie. Biedny wieszczu, w dalekiej nieznanej stronie zamilkła lutnia twoja, przerwało się pasmo żywota pełnego cnót, czystego jak zdrój przezroczy, jasnego jak słonko wiosny! Siwe wołki trunę powiozły, nie zanucił ci ostatniego pożegnania szum litewskich borów, nie zagrał żałobnej dumki wiatr północy!

W krainie mogił i krzyży smutno, i tylko szmer gałązek wierzby płaczącej i szum zielonych cyprysów, przerywa senną ciszę grobów.

Rzucamy ostatnie pożegnalne spojrzenie na drogą mogiłę. Promień słoneczny odbity od bronzowej powierzchni, krasi rubinem tło medaljonu, otrzyjmy łzę kręcącą się w oku i zawieśmy świeży wianek nieśmiertelników od siebie i od tych coby popłakali razem z nami....

Jeszcze jedna rzecz godna widoku. Wszakże w Montmorency przebywał genewski filozof Jan Jakób Rousseau, dotąd istnieje pałacyk zwany ermitażem gdzie mieszkał. Dróżką na lewo od cmentarza, podążamy w tę stronę. Ogrody pełne karłowatych drzew rozłożyły się dokoła. Owoców mnóstwo, tu zwieszają się piękne gruszki, jabłka i śliwki, tam znów winna latarośl gęsto gronami okryta pochyla się ku ziemi. Ani śladu, że w tym pięknym ustroniu mieszkał filozof marzyciel. Z eleganckiego domku jedno-piętrowego dolatuje dźwięk fortepianu i nuta wesołej piosenki;— mieszka w nim jakaś bogata rodzina przybyła z Paryża. Poza pałacykiem restauracyja i kawiarnia, dalej piętrzy się wysokie wzgórze, wyniosłemi porosłe drzewami. Wstępujemy po stromej pochyłości. Na płaskiej powierzchni wzgórza gęste krzaki dość wysokie, przecięte wężykowato wijącą się dróżyną. Przeszedłszy zarośla, natrafiamy na głęboki parów, ztąd roztacza się pyszny widok na Paryż i jego okolice. Linija wycięta przez las pozwala na krańcach wąwozów spoglądać w dalsze strony, również piękne i urozmaicone. We mgle sinej rysują się kontury wieżyc stolicy Francyi, bliżej czerwienią domki zbudowane z cegły i kryte dachówką, doliną bystry strumień nurty twe toczy, a wszędzie ogrody i winnice, jakby zielone liście w barwisty bukiet wplecione, urozmaicają wdzięcznie krajobraz. Każda wieś francuzka to maleńkie cacko na pociechę oka, przyroda nie poskąpiła darów ziemi, ziemia darami temi się szczyci. Powracamy, miasto całe jakby w jednym wianku rozsiadło się na wzgórzach, otuliło seledynowym zawojem, ubarwiło kwiatem.

Jesto najpiękniejsza miejscowość z okolic Paryża i dla tego często odwiedzana przez jego mieszkańców. Kilka dobrych restauracyi, konie wierzchowe i osiołki, są gotowe na usługi turystów. Pokrzepiwszy się, wynajęliśmy konie, aby odbyć wycieczkę do pobliskiego miasteczka Engien, gdzie istnieje zakład kąpielowy wód siarczanych, piękne jezioro i niewielki park spacerowy nad brzegiem tegoż jeziora położony. Przejeżdżając miasto, zauważyliśmy wielką liczbę pięknych domów z obszernemi dziedzińcami i ogrodami. Są to letnie mieszkania zamożnych Paryżan, wydalających się na skwarne dni Lipca i Sierpnia w zacisze wiejskie. Klomby, fontanny, altany, słowem wszelkie możliwe upiększenia wsparły sztuką naturę, a wrodzony gust francuzki, wszędzie położył znamie wybitne i skorzystał z najmniejszej sposobności, aby piękno jeszcze wyżej posunąć i udoskonalić. Miasteczko Engien posiada

---

wozdania z dzieł specyjalnych, odczytywanie pojedyńczych rozpraw i artykułów, komunikowanie sobie wzajemnych uwag i spostrzeżeń, wreszcie obmyślanie środków, jakich w danych razach użyć należy, oto korzyści jakie dają stowarzyszenia pojedyńczym jednostkom, a w następstwie ogółowi.

Stowarzyszenie lekarzy w Radomiu istnieje dopiero drugi rok, a już jak widzimy, wydało pewne dobre rezultaty. Zauważyć przytym wypada, że stosunki prywatne pomiędzy lekarzami są tutaj stokroć lepsze, aniżeli gdzieindziej.

Na zakończenie dodać muszę, że Radom w ostatnich czasach zapragnął przyjść z pomocą Towarzystwu osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. W tym celu obecnie urządza się teatr amatorki, który ma dać kilka przedstawień na korzyść tej instutucyi.

M. A. X.

* * *

Dr. St. Jerzykowski w Poznaniu przełożył z niemieckiego oryginału Vogla, krótką broszurkę „O cholerze i zaradczych przeciw niej środkach”.—Znajdujemy na 24 stronicach tej książeczki najpierw wyjaśnienie przyczyn sprowadzających epidemiją, dalej naturę jej zaraska, sposób szerzenia się choroby oraz warunki usposabiające, tak w samym organizmie spoczywające, jak też w jego zewnętrznym otoczeniu i sposobie życia. Krótki obraz samego przebiegu choroby, jej natura gwałtowna, wyjaśnienie przyczyn składających się na śmierć tak szybką, a nareszcie środki zapobiegające, zawarte w odpowiednim urządzeniu mieszkań, utrzymywaniu czystości kanałów i ścieków po miastach, i nareszcie higienicznym trybie życia, oto mniej więcej treść broszurki Bardzo pożyteczne przestrogi i rady podawania chorym ratunku w razie nieobecności lekarza zakończają ten krótki traktat popularny—który jako rzecz tanią, bo cena tylko 15 kopiejek wynosi, polecamy publiczności. Rzecz cała napisana przystępnie, a język w tłumaczeniu użyty, poprawny. Niektóre wyrażenia techniczne według szkoły Krakowskiej użyte, mogą być niezrozumiałe dla nielekarskiego ogółu, ale jest to mała usterka, na której wartość książeczki nie traci.

* * *

Nakładem Żupańskiego w Poznaniu wyszedł tom XIII pamiętników z XVIII w., zawierający ciekawe pamiętniki jenerała Lwa Mikołajewicza Engelhardta, przełożone z rosyjskiego, tudzież notami i dokumentami co do rzeczy polskich objaśnione przez P. *Stolnikowicza Chełmskiego.*

* * *

P. *E. H. Niewęgłowski* znany prof. gieometryi analitycznej w szkole wyższej polskiej Montparnasse, egzaminator matematyki w liceum św. Ludwika w Paryżu, wydał świeżo nakładem hr. Jana Działyńskiego „Kurs mechaniki rozumowej.” Tom I, zawierający statykę i dynamikę punktu. Paryż 1873, str. XVI, 544. Cena wynosi blisko 4 rs. Dzieło to poświęcone przez wydawcę pamiątce tegorocznego jubileuszu Kopernika, przypisał autor „Janowi hr. Działyńskiemu, swojemu dawnemu uczniowi, jako uznanie jego zasług na polu narodowej oświaty.”

* * *

Dzieło p. A. Bogusławskiego o wojnie francusko-niemieckiej, napisane po niemiecku, przetłumaczył na język angielski p. Graham, p. t. Tactical Deductions from the War of 1870—71.

jak już wspomniałem wielkie i piękne jezioro. Zastaliśmy dosyć liczne towarzystwo czekające na łódki, aby użyć przejażdżki po jeziorze. Damy szeptały między sobą śmiejąc się, byliśmy uważani za anglików, rozpraszających zasób narodowego splenu gonitwą za wrażeniami i rozmaitością podróży. Nieszczęśliwy to naród ci synowie mgły i węgla kamiennego! Posiadają obszerną wiedzę, olbrzymie kapitały, mają charakter w gruncie zacny i uczciwy, sumienność w interesach wielką, godność osobistą wysoce wyrobioną, ale cóż kiedy ich gubi oryginalna sztywność, excentryczne wybryki, a nadewszystko fatalnie zaatakowana wątroba. Anglik, to wątroba przesiąkła żółcią, do której przyczepiono ręce i nogi. Tak utrzymnją francuzki, słyszałem podobną opiniję kilkakrotnie. Anglik zawsze jest gburowatym i pomimo całej zacności fatalnie nudnym, pozującym na powagę, cierpiącym na hipochondryją i ziewaczkę. Patrząc na tych ludzi, przypominałem sobie naszych anglomanów, chodujących chude wywłoki, ziewających od rana do wieczora, i pytałem w duchu, dla czego te osobniki, zapinające paltot pod szyją w miesiącu Lipcu, dla czego te ziewające figury nie mają choć tyle rozsądku, co ich dżokieje, dla czego nie pomną o najważniejszej maksymie anglika: „czas to pieniądze, a pieniądz zdobywa się pracą." Nasza złota młodzież w kurtkach pająca, posiada tylko długie bokobrody, chodzi w korcie angielskim, jada befsztyk po angielsku, może być że posiada wątrobę angielską, ale mózgu angielskiego, godności osobistej, obywatelskiego poczucia, o tego nie szukaj u naszych anglomanów. Ale odbiegam od rzeczy, daruj szanowny czytelniku. Podróż łódką nie jest dla ciebie nowością, park nad jeziorem i zakład kąpielowy, nic osobliwego nie przedstawiają. Opuśćmy przeto Engien, siądźmy do wagonu i powróciwszy do Paryża, udajmy się na boulevard Mont Parnasse, aby z dworca kolei zachodniej wyruszyć do Wersalu. Kiedy mamy zobaczyć ulubianą siedzibę Ludwika XIV, wybierzmy się podczas uroczystości *wielkich wód*. Wersal przedstawia się wtedy w świątecznym stroju, a publiczności zobaczemy tłumy niezliczone.

Opiszmy pokrótce to miejsce. Samo miasto niewielkie, prócz kilku większych ulic i alei wysadzanych drzewemi, nic szczególnego do widzenia nie przedstawia: Tłumy wojska różnej broni napotykasz wszędzie, co stanowi kontrast z Paryżem, gdzie żołnierza rzadko kiedy ujrzeć można na ulicy. Droga prowadząca z Paryża do Wersalu jest nadzwyczaj malowniczą. Kilka stacyi oddziela od siebie te dwa miasta. Każden przybywający na miejsce, dąży prosto do pałacu, gdzie piękna i liczna galeryja obrazów i park rozległy urządzony z całym przepychem. Sam pałac królewski zabudowany w podkowę, główny pawilon środkowy mieści w sobie galeryją, dwa boczne obecnie były zajęte przez deputowanych republiki, oraz kancellaryje urzędników. Galeryja ma wartość przeważnie historyczną, mieści w sobie wiele portretów współczesnych, tak osób panujących, jak ludzi wszelakiego stanu i stanowiska, głośnych w historyi Francyi. Między innemi widzieliśmy portrety Stanisława Leszczyńskiego i jego rodziny. Obszerna sala, gdzie niegdyś słynne odbywały się bale, gdzie Ludwik XIV-ty tańczył menueta, znajduje się na pierwszym piętrze środkowego pawilonu. Okna jej wychodzą na park, a ponieważ zamek stoi na dość wysokiej gérze, przeto okiem sięgnąć można na parę mil odległości. W tej sali rozpoczyna się szereg obrazów przedstawiających bitwy napoleońskich. Penzel Le Brun'a, Vernet'a, Le Gros'a odtworzył tę wielką epokę dziejową, gdzie gienijusz bóg wojny kroczył pochodem olbrzyma i przebiegał Europę od krańca do krańca, siejąc postrach i zniszczenie. Ponad rotami wojowniczych zastępów powiewały zwycięzkie sztandary, wyprzedzała ich sława zwycięztw, pędziła na boje niepokonana wola wielkiego wodza, którego szary surdut znał świat, pod którego ręką uginała się ludzkość korne chyląc czoło, do stóp potężnego władzcy. Zmieniły się czasy, żołnierz zwiedzający galeryje, czuje wstyd i upokorzenie, nieraz szemrze cicho, krew mu się burzy, dla tego też przez czas jakiś nie wpuszczano żołnierzy do zamku, bojąc się zamieszek... Czytelnikom znajome są te słynne obrazy bitew, tak ze staloryków umieszczonych w „Życiu Napoleona," jak z licznych kopii, które wssędzie napotkać można. Urok tej wojowniczej i pełnej wypadków epoki, wcielił się w dzieła gienijalnych mistrzów, trudno zaiste oderwać wzrok, trudno wyjść z sali, gdzie z martwego płótna przemawia potęga wspomnień. Sala też zawsze pełna widzów. *(d. c. n.)*

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Wiedeń, d. 21 Lipca 1873.

(List szlachcica Kołomyjskiego do Redakcyi „Opiekuna Domowego" o Wystawie Sztuk Pięknych w Wiedniu).

Szanowny Redaktorze!

Wiesz, kochany przyjacielu, iż nie jestem znawcą malarstwa, lecz że mam oczy i chętnie patrzę się na przedmiot sztuki, oraz że zawsze i regularnie opłacam parę reńskich składki na stowarzyszenie artystyczne, chociażby nawet lwowskie. Stąd gdym się dowiedział o wystawie całego świata w Wiedniu, uważałem sobie za obowiązek jako członek towarzystw artystycznych sprzedać parę wołów i podążyć do stolicy dla przypatrzenia się na własne, a nie cudze oczy, owym zapowiedzianym arcydziełom sztuki.

Oczywiście przybywszy i rozpatrzywszy się w tym lesie który się tu nazywa wystawą, dobiłem wreszcie do przybytku sztuki, a przeprawiwszy się pomiędzy kapustą, która ma przedstawiać krajobrazy i pomiędzy pociętym mięsiwem które przedstawia rodzaj historyczny, a które nasz Jodko, rzeźnik w Kołomyi daleko lepiej *in natura* wystawia, udałem się na *lewo*, tam gdzie się znajdują francuskie obrazy.

Te szelmy francuzy! pomimo wszelkich Sedanów jest coś w nich, co nas pomimo woli ku nim pociąga! To też po kilkakrotnie przechodziłem ich wystawę sztuk pięknych; aż mi się we łbie zakręcało—tyle tam rzeczy pięknych i bijących w oko. Niestety, jak wiesz, na sztuce się nie znam, i o tyle tylko umiem ocenić wartość obrazu, o ile mi z góry powiedziano, co ma przedstawiać. Błąkałem się tedy jak pies po jarmarku przez dni kilka, czekając oficyjalnego katalogu — Nareszcie wychodzi—i to drukowany, a zatym musi być rzetelną, albowiem urzędowną prawdą!... Więc dawszy zań owego reńszczaka i uzbrojony w owego urzędownego przewodnika, biegnę z lekkim sercem aby się dowiedzieć co przedstawiały obrazy, które już od dni kilku tak mię zajęły, iż ledwie mi oczy nie wyleciały... z głowy.

Wiesz, iż jako wierno-konstytucyjny poddany nie wierzę w żadne dziennikarskie plotki, dla mnie to tylko ma znaczenie, co jest urzędownie podane. Pojmiesz zatym moję radość, gdy uzbrojony w urzędowy katalog, stanąłem nareszcie w sali, i widzę, iż każden obraz zaopatrzony wielkim na białym napisany czerwonym urzędowym numerem. O cudo! dotąd tego niebyło! Staję więc, podziwiam i szukam. Nareszcie dowiem się przecież co ten lub ów obraz przedstawia.

Naprzykład tam w górze zawieszony wielki, sądząc po farbie, piękny obraz. Jakiś facet z siwą brodą przyprowada drugiemu facetowi w niebieskim płaszczu, który wygląda nawpół na rzymianina naw pół naturka, wcale niezgorszą, dobrze wyrosłą, mocno rozebraną *pannę*. Inne *panny*, również boso po szyję, siedzą na ziemi. Na obrazie Nr. 292. Patrzę do katalogu, stoi jak wół Nr. 292-gi: „Gigoux: *Miłosierny Samarytanin.*" Przyznam się, iż wystawiałem sobie całkiem inaczej miłosiernego Samarytanina! Wielka mi sztuka być miłosiernym w podobnym wypadku! Ale co stoi napisane i do tego urzędownie, to jest prawdą, — więc nie wdając się w krytyki idę dalej.

Ot, tam niedaleko drzwi wchodowych do drugiej sali, siedzi śliczna, ale całkiem śliczna dziewczyna, którą widocznie złodzieje obdarli z odzienia i siedzi dotego na gałęzi, konno. Łamałem sobie wciąż głowę, co to za dziewczyna i jakim sposobem może na gałęzi wysiedzieć. Na ramie obrazu stoi jasno i widocznie przylepiony numer 82-gi. Dawaj katalog! Jest numer 82-gi. „Boulanger: *konna forpoczta.*" A to mi wojsko co takie forpoczty wystawia. Ale teraz dopiero zrozumiałem wysoką alegoryją obrazu; oczywiście forpoczta może wysiedzieć na gałęzi, gdyż już nawykła do siodła.

Tam piękny portret, nieco już dojrzałej lecz zawsze jeszcze nader ujmującej damy w czerwonej aksamitnej, mocno wyciętej sukni. Parę dość wybitnych wdzięków tryska naprzód z ram obrazu. Kto to może być? Nr. 161. Mam numer 161. „Cott: *Wzgórza koło Ville d'Avray.*"

Jak to pięknie i delikatnie oficyjalny katalog wyraził! Śliczne to miejsce, owo Ville d'Avray, niedaleko Sevres; pamiętam jak dziś, gdym tam jeździł przed dwudziestu laty, aby dla mojej żony na imieninny kupić porcelanową salaterkę. Nie dziw więc iż to miejsce powtarza się dość często w francuskiej wystawie, jak np. przy owej znów całkiem rozebranej pannie bez krynoliny i mankietek, którą oznaczono Numerem 165, a która zamiast ubrania trzyma łuk w ręku. Zaglądam do katalogu, Nr. 165: „Cabot: *Staw w Ville d'Avray.*" Wprawdzie na obrazie stawu wcale nie widzę, lecz musiała się owa nimfa z łukiem dopiero co w stawie wykąpać, gdyż zapomniała nawet ręcznika i suszy się na powietrzu.

Idźmy dalej. Tam w wielkiej sali portrety dwu dam w całej postaci, jedna w makowej sukni z rękawiczką w ręku—młoda, piękna, ujmująca postać, druga w czarnej aksamitnej odziewce, z fałszywemi włosami, fałszywemi zębami, fałszywym wzrokiem, z fałszywemi wdziękami a z numerami z frontu i z drugiej strony obrazu. Kto to może być? Na pierwszych ramach stoi Nr. 227, na drugich Nr. 223. Myślę sobie to pewno pani Rattazzi lub jaka księżna, np. pani de Noailles po śmierci pierwszego męża. Ale gdzie tam! W katalogu stoi Nr. 223 „Dupain: *Śmierć Nimfy Hesperyi.*" Piękna mi Nimfa! Chwała Bogu że się przeniosła do wieczności. A do Nr. 227 stoi: „Dumas, *Droga z Brest do Conquot:*" Co ulicha! owa dama z rękawiczką? No, jeżeli tamtędy droga do Bresta prowadzi, to natychmiast zostawiam moją starą babę przy gęsiach, i przenoszę się do Conquot!

Kochany przyjacielu! po tych pierwszych próbkach katalogu, zaczęło mi się kręcić we łbie jak w młynie, jednym słowem zgłupia-

łem! Katalog urzędowy,—a zatym o prawdzie wątpić nie wolno, a tu Mości Dobrodzieju wszystkie moje pojęcia estetyczne wywróciły kozła! Błąkam się tedy po salach jak pijany, tu i owdzie już tylko porównywam numery obrazów z katalogiem. Tam nad drzwiami wisi na drzewie jakiś chłopiec nogami do góry, a jakiś drab turek czy cygan dobywa kozika aby mu skórę obedrzeć. Widocznie potrzeba mu takowej na podzelowanie butów, gdyż palcami świeci. Nr. 411 „Lagrand: *portret Franciszka Liszta.*" Co u licha, przecież wasze warszawskie i petersburgskie panie zdzierały Lisztowi rękawiczki, ale mu nigdy skóry nie zdarły. Czyż to ma być złośliwa alegoryja?

Tam leży ranny Gladyjator w cyrku, przeciwnik trzyma głowę za włosy i przykłada nóż do gardła, a zaperzone kobiety, klaszcząc w dłonie, dają znak aby zwycięzca ostatni śmiertelny cios umierającemu biedakowi zadał. Nr. 273. Czytam Nr. 273. „Gaillard: *Sceny z życia w Normandyi.* Przyznam się iż na ten koncept nie zdobyłbym się nigdy, albo jak na ów pod Nr. 277, który przedstawia dekoltowaną, ale po samą szyję dekoltowaną jejmość, bez pończoch i obrąbku u koszuli, bawiącą się z małpą. Patrzę do katalogu Nr. 277. „Gaillard: *Portret kanonika Bogersona.*" Co, jak i gdzie? Czy to ma być jakaś fatalna aluzyja na małpę, lub na ową jejmość tego nie wiem, ale koncept wcale nie tęgi. Ponieważ jejmość mocno brunatna, więc odnosi się to zapewne do misyi apostolskiej szanownego prałata pośród dzikich ludów. Więcej mię jeszcze rozgniewał Nr. 543. Jakiś bernardyn klęczy modląc się w celi, a jakiś jegomość, wyglądający na zupełnego *nequam*, wprowadza do tej celi trzy damy, mocno rozebrane, czyli raczej nieubrane. Czytam w katalogu Nr. 543. „Regnaul, *Poslannictwo z Rzymu.*" Co z Rzymu? To przecież i Rzym powinien mieć tyle rozumu, iżby wiedział że bernardyn człowiek tak jak inny, i że ostatecznie krew nie woda.

Oburzony chcę wynosić się z tej sali, gdy uderza mię na raz wcale nie pospolite malowidło. Na czerwonej sofie leży całkiem rozebrana, dziwnie piękna kobieta, na którą jakiś satyr podobny do faktora Mośka z Brodów z za firanki zjadliwie spoziera. Ani bogini grecka, ani żadna nimfa nie nosiła nigdy włosów tak ufryzowanych według nowego autoramentu, więc kto to może być? Nr. 422 w katalogu: „Ch. Lefebore *Wychowanie świętej dziewicy.*"

Co? tego to mi zanadto! To wszystko bluźnistwo, aczkolwiek urzędowy katalog zapewnia. Przecież i ja mam córki i w ten sposób nikt swej córki wychowywać nie będzie na prostą i ordynaryjną dziewicę, a cóż dopiero na świętą! Katalog kiep,—a osły co takowy pisali!

Wypadłem z wystawy w furyi i dopiero chłodząc się piwkiem dowiedziałem się od jakiegoś wiedeńczyka iż ktoś na złość francuzom wszystkie numery obrazów poprzekładał. Dziś podobno już naprawiono pomyłkę, lecz że istniała przez więcej jak dziesięć dni, świadczy ci twój przyjaciel.

Swiszczypałkowski.



„Religija, jako przedmiot umiejętności porównawczej", wykłady pr. *Maksa Müller'a*, przetłumaczył *Adolf Dygasiński.* Kraków 1873 r.

Już na pierwszej karcie wykładów znakomity lingwista i mitolog dowodzi, że jak wszystko na świecie, tak i religija może się stać przedmiotem prawdziwej, w nowożytnym znaczeniu tego słowa, umiejętności, której podstawą jest krytyczne sprawdzanie danych i gruntowne a jaknajszersze ich porównywanie. Podając następnie próby klasyfikacyi wszystkich najpopularniejszych i najbardziej na gruncie dziejowym rozwiniętych wierzeń, okazuje ścisły ich związek z językiem i narodowością, a nadto wykreśla pierwszą w dziedzinie „teologii porównawczej" metodę badania.

„Niepodobieństwem jest prawie w naszych czasach mówić o religii nie zadrasnąwszy kogo na prawo lub na lewo". Zdaniem bowiem jednych, religija stoi ponad poziomem naukowych studyjów, zdaniem innych, niedorasta do skali godnego umiejętnych badań przedmiotu. Autor więc, zmuszony stanąć naprzeciw obydwu krańcowych obozów, dowodzi wierzącym, że nie tylko nic nie stracą, ale owszem wiele zyskają na poznaniu tego, co się w dziejowym zarodzie poza obsłonami ich dogmatycznej wiedzy ukrywa; bo fałsz zawsze jest ciemnią i nędzą, a prawda światłem i skarbem—niedowiarkom zaś, którzy religiją na równym z alchemiją i astrologiją stawiają poziomie, odpowiada, że jeśli tak jest, to poznanie zasad wszech religij, podobnie jak i tych powodzią mgły zaćmionych nauk, wielką dla nieuprzedzonego umysłu przyniesie korzyść, bo rozjaśni błędy i da poznać wartość wszystkich na drodze właściwego rozwoju dokonanych nabytków ludzkiego gienijuszu.

Rozwijana pod takiemi godły teologija porównacza polega na systematycznym a bezstronnym badaniu dziejowych form religii, i już z natury założenia swego zostaje w bratnim sojuszu z etnografiją i lingwistyką porównawczą. Pierwszym aktem pracy w tej dziedzinie jest „wytworzenie sobie dokładnego i jasnego pojęcia o najpierwotniejszej formie każdej religii". Słusznie bowiem, jak powiada autor, możnaby zastosować do przedmiotu jego badań to, co kiedyś Goethe wyrzekł o języku i powiedzieć, że „kto zna jednę tylko religiją, ten nie zna żadnej". Materyjału na tym nowym polu dostarczy umiejętnemu badaczowi literatura, archeologija i język. Badanie pomników—ksiąg uznanych za święte i ich komentarzy—podlegać winno sumiennej krytyce, troszczącej się o czas, miejsce, autora księgi i stopień jego niezawisłości w stosunku do zewnętrznych wpływów. Ocenę dokumentów znakomicie ułatwia, a niekiedy ich brak zastępuje niewyczerpana kopalnia języka, która przy świetle umiejętności porównawczej stała się jak wiadomo jednym z najdrogocenniejszych ku rozjaśnieniu czasów przedhistorycznych materyjałem. Tym tylko sposobem można dojść do źródła prawdy, i pierwotne formy od późniejszych podobizn i rozmyślnych często wykrzywień odróżnić.

Na szczególną uwagę jednak zasługuje przedstawiona przez autora pierwsza w głównych konturach klasyfikacyja religij. Odrzuca on stary, dogmatyczny podział religij na objawione i naturalne, jako wszelkiej naukowej pozbawiony podstawy, a przyjmując względnie i tymczasowo podobny podział wierzeń na uświęcone i nieuświęcone powagą ksiąg, używa go za pomost do właściwej klasyfikacyi, zarówno z etnograficznego jak i językoznawczego stanowiska uprawnionej. Nie jest to jednak system pełny i zamknięty, bo obejmuje tylko azyjatycko-europejskie, tylko bliżej znane religije. Porządkuje on zresztą tylko w sposób ogólny cały zasób zdobytej wiedzy, a mając głównie na celu zachęcenie naukowego ogółu do pracy nad „teologiją porównawczą", dopuszcza rozliczne w miarę postępujących studyjów modyfikacyje, a tym samym nie odgradza się od przyszłości idealnym murem chińskiego zastoju.

Podług obrachunku pr. M. wszystkich religij posiadających księgi święte jest 8. Z tych 3 przypada na aryjskie plemię (hindusy i persowie), 3 na semickie (hebrajczycy i arabowie) i 2 na turańskie (chińczycy). Trzy więc są główne gałęzie rozwoju religii: aryjska, semicka i turańska. Do pierwszej należy: brahmanizm, religija Zoroastra i budaizm; do drugiej: mozaizm, chrystyjanizm - machometanizm; do trzeciej wreszcie: religija Konfucyjusza i Laocego. Budaizm wypływa z brahmanizmu, podobnie jak chrystyjanizm w mozaizmie swoje źródło czerpie religija zaś Zoroastra w tym samym zostaje stosunku do dwu piewszych, co machometanizm do dwu drugich, z tą tylko różnicą, że Zendawesta poprzedziła chwilę narodzin budaizmu, Koran zaś, chronologicznie po Nowym Testamencie nastąpił. Budaizm nakoniec, podobnie jak chrześcijanizm, nie na swojskim ostatecznie rozwinął się gruncie; pierwszy bowiem, powstały u aryjów, uzyskał dopiero pole do bujnego rozrostu śród plemienia turańskiego, drugi, w duchu semickim poczęty, stał się z czasem religiją indo-europejczyków.

W dalszym ciągu wykładów stara się dowieść autor, że na terytoryjalnym gruncie rzeczonych plemion wyrobiły się tylko trzy religijne typy, z których aryjski ma wyobrażać cześć Boga w naturze, semicki—Boga w historyi, turański wreszcie—całego zbiorowiska sił fizycznych i cieni zmarłych przodków.

Jeślibyśmy cokolwiek ośmielili się zarzucić autorowi, to chyba zupełnie, przy lingwistyko-teologicznych zaciekaniach, pominięcie plemion i języków słowiańskich, o których, mianowicie w związku z plemieniem i językiem zendskim, wiele dałoby się wypowiedzieć szczegółów, znakomicie podniesione przez niego tezy rozjaśniających. Bądźcobądź, książka zamykająca w sobie staranny przekład czterech odczytów M. Müller'a z zakresu nieznanej dotąd „teologii porównawczej", jest dość znakomitym i nowym w literaturze naszej nabytkiem, — i wielce pożądaną byłoby rzeczą, aby przygotowane już podobno przez p. A. D. tłumaczenie innych, traktujących o lingwistyce tegoż profesora wykładów, jaknajprędzej światło dzienne ujrzało.

A. G. B.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.